

Relacja Haliny Balcerak o wydarzeniach w Dziśnie

Miałam prawie dziesięć lat i chodziłam od dwóch tygodni do trzeciej klasy szkoły powszechnej. Mieszkaliśmy w nadgranicznym miasteczku, w Dziśnie (ma w Warszawie swój podkład kolejowy na pomniku przy ulicy Muranowskiej). Moi rodzice byli tam nauczycielami: Mama w szkole powszechnej, Ojciec, Stanisław Pałuszko, w Państwowym gimnazjum im. Grzegorza Piramowicza.

Dzisna przed wojną miasto powiatowe w województwie wileńskim, położona nad Dźwiną, która była granicą z Rosją sowiecką. Z okien naszego domu widać było dokładnie rzekę i kawałek kraju Sowieców, aż po horyzont. Rzeka była nasza, tzn. całej dzieciarni dziśnieńskiej i rybaków, bo ryb było tam bardzo dużo. Granica biegła środkiem rzeki. Potrafiliśmy godzinami przesiadywać i bawić się na wyspie "Batorego" lub na sowieckiej wyspie, położonej dalej z biegiem nurtu i przyglądać się na położone po drugiej stronie Dźwiny miasteczko, które nazywało się Łunaczarsk. Byłam szczególnie uczulona na to, co się tam dzieje, zwłaszcza że starsi ludzie pamiętali czasy sprzed rewolucji i opowiadali o dwóch majątkach, które było widać z naszego brzegu; raczej aleje świerkowe i resztki zabudowań dworskich. Ojciec mój w 1920 r. był pod Lida wzięty przez bolszewików do niewoli i prawie dwa lata był w obozie jenieckim w Kazaniu. Ja, mała dziewczynka, byłam bardzo zainteresowana opowiadaniem Ojca o Rosji sowieckiej, no i miałam ją ciągle przed oczami, tuż za rzeką. Ludzie, którzy przeżyli na tych terenach rewolucję, opowiadali o okrucieństwach bolszewików. A były straszne, np. trzech ziemian z pobliskich majątków żywcem zakopali itd., itd.

W ciągu ostatnich dwóch lat przed wrześniem 1939 r. zaczęły się "ruchy" za Dźwiną. Nocami rozebrali cerkiew, stojącą nad brzegiem rzeki, i zaczęli miasteczko grodzić palami (palisadą jak w Biskupinie), i ta palisada z każdym dniem była coraz dłuższa. Mieszkańcy Dżisny uważali, że bolszewicy bali się widoku i wpływu ludzi żyjących na naszym brzegu. Lepiej ubranych, wesołych, bawiących się przy muzyce (jakaś orkiestra) w nadrzecznym parku. Dzieci kąpiących się w rzece, zimą jeżdżących na nartach i łyżwach; rybaków łowiących całe sieci ryb, no i ludzi wychodzących i wychodzących z kościoła. Podczas procesji tamci ludzie zza rzeki wychodzili na brzeg, klękali, żegnali się i na kolanach posuwali się za idącą nadbrzeżną ulicą procesją.

Na Dźwinie tymczasem "wyrastała" przeprawa z ogromnych kamieni, przewożonych nocą przez rybaków lub kogoś innego (chyba na tratwach); płacili im za to dobrze nasi miejscowi komuniści, a było ich w Dziśnie sporo; byli to miejscowi i przyjezdni z Polski centralnej. Była to przeważnie ludność żydowska i paru miejscowych Białorusinów. Skąd to wiadomo? Ludzie wiedzieli i widzieli, np. wychodząc z Ojcem z wieczornego seansu w kinie, z paru domów żydowskich położonych u nadbrzeża, nie kryjąc się, przesyłano na sowiecką stronę sygnały świetlne. Ojciec mi to pokazywał, ale mały osobowo postereunek policji (komendantem był pan Wnuk - potem aresztowany) nie dawał sobie z tym rady. Przeprawa kamienna wciąż rosła, aż powstał bród, po którym nocą prawdopodobnie przechodzili jacyś ludzie szykując się do napaści na Polskę. W mieście była strażnica KOP, dowodzona przed wojną przez kapitana (?), przed nim był por. Krukierek, którego w 1938 r. przeniesiono do Wadowic. Nie wiem, ilu było żołnierzy w strażnicy - chyba niewielu, bo sporo mężczyzn poszło na wojnę z Niemcami. Sowiecki brzeg był zawsze zaorany i otoczony zasiekami z kolczastego drutu.

Dzisna - niewielkie powiatowe miasteczko położone w ujściu Dzisienki do Dźwiny - leży na dawniejszym szlaku Stefana Batorego w czasie jego wypraw na Smoleńsk i dalej. Siedziba starosty mieściła się w mieście Głębokie, około 50 km od Dzisny. W Dżisnie urzędował tylko burmistrz (pan Kucharski), sąd, notariusz, trzech adwokatów, księża z zakonu franciszkanów. Były dwie szkoły powszechne i Gimnazjum Państwowe im. Grzegorza Piramowicza. Grono nauczycielskie, to ludzie po wyższych studiach w Wilnie, Warszawie i Krakowie. Ojciec mój ukończył Uniwersytet Warszawski w 1927 r. Rysunków uczył pan Marian Szczyrbuła, malarz "kapista" z kręgu [Jana] Cybisa - uznany za jednego z najwybitniejszych malarzy kolorystów dwudziestolecia. Był z moim ojcem w Tobolsku i zmarł w drodze do Barnału (nad m. Kaspijskim). Geografii uczył pan Zygmunt Giergowicz, który zginął w Katyniu, polskiego pan Mieczysław Kotlicki z Wilna po studiach na Uniwersytecie im. St. Batorego.

Ludność Dżisny to Polacy, Białorusini, Żydzi, kilku Litwinów i rodzina Karaimów (nasz listonosz). Polacy, to głównie inteligencja, ziemianie i sporo rolników wyznania katolickiego (w domu mówili po białorusku). Większość ludności Dżisny stanowili Żydzi, którzy zajmowali się handlem, było też parę rodzin inteligencji: adwokat, profesorowie w gimnazjum, np. pan Safryn, pan Arem. Młodzi Żydzi sprzyjali bolszewikom, a kilka żydowskich rodzin inteligenckich mówiło w domu po rosyjsku. Państwo Aremowie byli bezdzietni, byłam zaprzyjaźniona z panią Aremową, która wprowadzała mnie w świat starożytny, mianowicie Iliadę i Odyseję. Wyjechali potem gdzieś na wschód. Żydzi mieli w Dżisnie dwie bożnice, mykwę i cmentarz. Białorusini, to rolnicy, robotnicy w mieście i w majątkach ziemskich - wyznania prawosławnego - byli bardzo nam życzliwi. Bardzo pomagali niedobitkom Polaków w czasie okupacji sowieckiej.

Z wiosną 1939 r. zaczął się "ruch" za palisadą po drugiej stronie rzeki. Nocami słychać było warkot czołgów i ciężarówek. Bolszewicy ustawiali tam swój sprzęt wojenny i gromadzili żywność.

W czasie wakacji czuło się już niepokój. Choć było daleko do Wilna, a tym bardziej do Warszawy, ale aż do podpisania układu o nieagresji Ribbentropa i Mołotowa było dość spokojnie. Dopiero ten układ przekonał Ojca, że wojna jest nieunikniona. Wróciłam z Mamą i bratem z Druskienik i Wilna, i od września - mimo wybuchu wojny z Niemcami - poszłam do szkoły. Rodzice zgromadzili trochę zapasów, głównie żywności. 17 września nad ranem około godz. 3.00 usłyszeliśmy strzały. Bolszewicy wkraczali do miasta przez most nad Dżisienką (do 1991 r. jeszcze nie zdążyli naprawić mostu uszkodzonego w czasie wojny) i przez bród na Dźwinie. Ale chyba nie zaskoczyli naszej małej grupki żołnierzy KOP-u, do której dołączyli chłopcy z naszego gimnazjum. Kierował nimi nauczyciel geografii, kolega mojego Ojca, por. rez. mgr Zygmunt Giergowicz zamordowany potem w Katyniu. Jego żona, śliczna pani Anna Giergowiczowa mieszkała po wojnie gdzieś na Śląsku.

Nasi żołnierze ostrzeliwali się ostro, słychać było nieustanną kanonadę. Niestety bolszewicy byli silniejsi, było ich dużo i nasi około godz. 7.00 rano wycofali się w stronę Łotwy, kraju zawsze nam przyjaznego.

Zobaczyliśmy tych - oczekiwanych z utęsknieniem przez część naszej społeczności - żołnierzy sowieckich; byli dziwni: małego wzrostu, na krzywych nogach, brzydzy i mieli na głowach te dziwaczne czapki, a także w szmacianych butach. Byli strasznie głodni. Paru wpadło do domu i prosili o jedzenie. Wzięli chleb, jakąś wędlinę, od Ojca papierosy itp. Sami żołnierze byli w miarę grzeczni i zaraz ruszyli dalej w Polskę, a do Dżisny wkroczyło NKWD. Wreszcie nasi komuniści mogli się wykazać i nacieszyć. Nie da się ukryć, że byli to głównie Żydzi i paru Białorusinów (jeden z nich nazywał się Stoma), a prowodyr Żydów chyba Szulman (?). Nosili oni spisy - zrobione już wcześniej - "trefnych" Polaków. Jednym z nich był mój Ojciec, bo walczył w dwudziestym roku z bolszewikami. Wieczorem był spektakl. Mieszkaliśmy w Alei Józefa Poniatowskiego, naprzeciw szpitala; w środku ulicy, między drzewami stało za metalowym płotkiem popiersie Józefa Piłsudskiego. Nasi Żydzi przyszli tu z pochodniami i śpiewając Międzynarodówką rozbijali to popiersie. Przynieśli też ze sobą łomy i siekiery; wrzeszcząc tłukli na drobne kawałki Marszałka. Patrzyłam z okna przerażona, zszokowana. Na razie zostawili nas w spokoju. Natomiast zamknęli wszystkie sklepy i towary trzymali dla swoich towarzyszy zza wschodniej granicy. Ludzie, tzn. Polacy i Białorusini, byli zdani na siebie, na swoje zapasy, ogrody i sąsiadów rybaków i rolników.

Po paru tygodniach nowe władze zapędziły nas do szkoły i nauczyciele byli na razie potrzebni. Od razu musieliśmy "umieć" mówić po rosyjsku i pisać cudaczną dla nas cyrylicą!

Nauczycielka, piękna Żydówka, koleżanka mojej Mamy, absolwentka Uniwersytetu St. Batorego, powiedziała do mnie: "Pierestań goworit etim sobaczim jazykom, waszej Polshi uże nikogda nie budiet"!